wolnelektury.pl

Guy de Maupassant
(tłum. anonimowy)

Przyjaciel Patience

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

GUY DE MAUPASSANT

Przyjaciel Patience

TŁUM. ANONIMOWY

— Czy nie wiesz co się stało z Loremy?

— Jest kapitanem przy szóstym pułku dragonów.

— A Pinson?

— Jest podprefektem.

— A Racollet?

— Umarł...

I długo jeszcze wyszukiwaliśmy inne imiona, znajdując między niemi jednych łysych, drugich brodatych, żonatych, ojców kilgorga dzieci i te wspomnienia z owemi zmianami wywoływały u nas nieprzyjemne dreszcze, z wrażenia, jak życie jest krótkiem, jak wszystko przechodzi i wszystko się zmienia...

Wśród tego przyjaciel zapytał mnie:

— A Patience, ten gruby Patience?

Wydałem rodzaj ryku:

— Och, o nim, coś ci opowiem. Byłem przed czterema, lub pięciu laty na objeździe kontrolnym w Limoges. Siedząc przed wielką kawiarnią na placu teatralnym, czekałem na obiad i nudziłem się wściekle. Przychodzili tam kupcy, po dwóch, po trzech lub czterech, pili absynt lub Vermouth, rozmawiali głośno o swoich i cudzych interesach, śmiali się na cały głos, lub szeptem komunikowali sobie jakieś ważne wiadomości.

Sam sobie zadawałem pytanie co będę robił po obiedzie? I myślałem o tym długim wieczorze w tem prowincyonalnem mieście, o czekającem mnie powolnym, a bezcelowym spacerze po nieznanych ulicach, o przygniatającym smutku, który gnębi samotnego podróżnika, o tych przechodniach, którzy są ci zupełnie obcy we wszystkiem, od stóp do głowy, ze swojemi przyzwyczajeniami i miejscowym akcentem. Przejmujący smutek szedł do mnie z tych domów, sklepów, pojazdów o dziwnych kształtach, z ruchu ulicznego, smutek, który wreszcie pędzi cię, jak gdybyś był zbłąkany w niebezpiecznym kraju, do hotelu, wstrętnego hotelu, w którym twój pokój czuć tysiącem podejrzanych zapachów, łóżko wstręt budzi, a miednica oblepiona jest dawno osiadłym brudem.

Myśląc o tem, patrzyłem jak zapalano gaz na ulicach, a razem z wieczorem zapadającym schodziła na mnie samotnika melancholia.

Nie miałem co robić z wieczorem, byłem sam, samotny, opuszczony.

Przy sąsiednim stoliku usiadł jakiś gruby mężczyzna i zawołał tubalnym głosem:

— Garson, moja czarna!

To „moja” brzmiało jak wystrzał armatni. Zrozumiałem zaraz, że wszystko należało do niego, a nie do kogo innego, że miał swój charakter, swój apetyt, swoje spodnie, „swoje” sam już nie wiem co, ale własne, absolutnie własne. Następnie, z miną zadowoloną rozglądał się naokoło. Podano mu jego czarną kawę, on zaś znowu zawołał:

— Moją gazetę!

Pytałem sam siebie: jaka to będzie, ta jego gazeta. Tytuł jej odkryje mi zapewne jego opinje, zasady, upodobania, naiwności.

Garson przyniósł „Temps”. Byłem zdziwiony. Dlaczego „Temps”, dziennik poważny, doktrynerski, wpływowy?? Myślałem sobie:

Przecież to musi być mądry człowiek, o usposobieniu poważnem, regularnych zwyczajach, w końcu porządny mieszczanin.

Włożył na nos złote okulary, rozparł się i zanim zaczął czytać, rzucił jeszcze raz wzrokiem naokoło siebie. Spostrzegł mnie i odrazu począł mi się w sposób natarczywy i żenujący przyglądać. Miałem już zamiar zażądać od niego wytłomaczenia tej obserwacyi, gdy nagle zawołał do mnie od swego stolika:

— Tam do dyabła, przecież to Gontran Lardois.

Odrzekłem:

— Tak, panie, nie pomylił się pan.

Wstał gwałtownie z krzesła i zbliżył się do mnie z wyciągniętemi rękoma:

— Ach, jak się masz, mój stary?

Byłem zakłopotany, nie poznawałem go wcale. Wyszeptałem:

— Ależ... dobrze... a pan?

Zaczął się śmiać:

— Założę się, że mnie nie poznajesz?

— Zupełnie nie... Jednak zdaje mi się...

Uderzył mnie ręką w ramię:

— No, no, bez blagi. Jestem Patience, Robert Patience, twój kolega.

Poznałem go. Tak, był to Robert Patience, mój kolega z kollegium. Uścisnąłem rękę, którą mi podawał:

— A ty, ty jak się masz?

— Ja, doskonale!

Uśmiech jego był pełen tryumfu.

Zapytał mnie:

— A ty, co tu porabiasz?

Objaśniłem go, że jako inspektor finansów jestem na objeździe.

Wskazując na moją dekoracyę:

— A więc, powiodło ci się?

— Tak, wcale nieźle, a tobie?

— Och! mnie, bardzo dobrze!

— A ty czem się zajmujesz?

— Ja, prowadzę interes.

— Robisz pieniądze?

— Duże, bardzo duże, jestem bardzo bogaty. Przyjdźże jednak do mnie jutro w południe na śniadanie, ulica Krucza, 17, zobaczysz moje urządzenie.

Przez chwilę zdawał się wahać, poczem zapytał:

— Jesteś jeszcze tym dawnym urwiszem?

— Tak, spodziewam się.

— Nieżonaty, nieprawdaż?

— Nie.

— Tem lepiej. Lubisz zawsze zabawę i ziemniaki z masłem?

Zacząłem znajdować go niewypowiedzianie pospolitym. Mimo to odpowiedziałem:

— Ależ tak.

— A piękne dziewczynki?

— Co do tego, to i owszem.

Zaczął się śmiać tonem zadowolenia:

— Tem lepiej, tem lepiej. — Przypominasz sobie zapewne nasz pierwszy żart w Bordeaux kiedyśmy to byli na kolacyi w knajpie u Roupie? Hę? To dopiero było wesele.

Przypomniałem sobie istotnie ową zabawę i wspomnienie to rozweseliło mnie. Potem inne wspomnienia przyszły mi na myśl, potem znów inne; rozmawialiśmy dalej:

— Pamiętasz o tem jak zamknęliśmy owego pioniera w piwnicy ojca Latoque?

On śmiał się, bijąc pięścią po stole:

— Tak... Tak... a ty przypominasz sobie gębę profesora geografii, Marin, kiedy puściliśmy petardę, w chwili gdy wykładał nam o wulkanach?

Wśród tego, nagle zapytałem go:

— A ty, jesteś żonaty?

Zawołał:

— Od dziesięciu lat, mój drogi, mam czworo dzieci, zadziwiające bębny. Zobaczysz je razem z matką.

Rozmawialiśmy głośno, sąsiedzi z podziwieniem oglądali się na nas.

Nagle mój przyjaciel spojrzał na zegarek, chronometr wielkości cytryny i zawołał:

— Do pioruna! Przykre to, lecz muszę cię opuścić; wieczorami nie jestem wolny.

Wstał, na pożegnanie trząsł mojemi rękami jak gdyby chciał je wyrwać z ramion i wyrzekł:

— Do jutra, do południa, to ułożone!

— Ułożone.

Przedpołudnie spędziłem w biurze generalnego skarbnika. Chciał mnie zatrzymać na śniadanie, przeprosiłem go jednak, że mam umówione spotkanie u mego przyjaciela. Towarzyszył mi zatem po drodze.

Zapytałem go:

— Czy wie pan gdzie jest ulica Krucza?

Odpowiedział:

— Wiem, to jest pięć minut stąd. Ponieważ nie mam nic do roboty, odprowadzę pana.

I poszliśmy.

Wkrótce doszliśmy do ulicy, której szukałem. Byłato wielka, dosyć ładna ulica, na skraju miasta i pól. Spoglądałem po domach i dojrzałem numer 17. Dom przedstawiał się jakby pewnego rodzaju hotel, z ogrodem z tyłu. Front ozdobiony freskami, o stylu włoskim, robił wrażenie złego gustu. Widziało się boginie nachylone nad urnami, to znów inne, okryte lekkim obłokiem, kryjącym ich sekretne wdzięki. Dwa rzeźbione amorki podtrzymywały numer domu.

Odezwałem się do skarbnika:

— To tutaj się udaję.

Podałem mu rękę na pożegnanie. Zauważyłem, że zrobił nagły, dziwny ruch, nic jednak nie rzekł i uścisnął moją wyciągniętą rękę.

Zadzwoniłem. Zjawiła się służąca, zapytałem ją:

— Czy tu mieszka pan Patience?

— Tutaj proszę pana... Czy z nim samym pragnie się pan zobaczyć?

— Ależ, tak.

Przedsionek był podobnie ozdobiony jakiemiś malowidłami pędzla widocznie miejscowego artysty. Pod palmami, w różowem oświetleniu ściskał się Paweł z Wirginią. Wschodnia a obrzydliwa latarnia zwieszała się z sufitu. Kilkoro drzwi zasłaniały jaskrawe kotary.

Ale to co przedewszystkiem mnie uderzało, to jakiś dziwny zapach. Zapach dławiący i przesycony różnemi perfumami, przypominający puder ryżowy i pleśń piwniczną. Zapach, niedający się określić w tej ciężkiej atmosferze, przygniatający jak para w łaźni, zmięszana z potem ciał ludzkich. Szedłem za służącą po marmurowych schodach, nakrytych dywanem w stylu wschodnim i wszedłem wreszcie do zbytkownie urządzonego salonu.

Pozostawiony sam sobie rozglądałem się wokoło.

Salon był bogato umeblowany, ale z pretensyą dorobkiewicza. Na ścianach wisiały grawury z ostatniego stulecia, zresztą dość ładne, przedstawiające kobiety o wysokiej pudrowanej fryzurze, w połowie nagie, napadane przez zalotników o interesujących pozach. Inna dama, w pozie leżącej na wielkim rozburzonem łóżku, igrała nogą z małym pieskiem zaplątanym w suknie; inna znowu nie opierała się z widocznem zadowoleniem, kochankowi, którego ręka ginęła pod spódniczkami. Jeden rysunek przedstawiał cztery stopy od dwóch postaci, w pewnej pozie, ukrytych za parawanem.

Obszerny pokój ten, obity miękkimi dywanami, przesycony był również tą denerwującą a ckliwą wonią, która mnie uderzyła na wstępie. Coś podejrzanego wychodziło z tych murów, materyj, z tego przesadzonego zbytku, ze wszystkiego.

Zbliżywszy się do okna, spojrzałem w ogród. Był on dosyć duży, zacieniony, także wspaniale utrzymany. Szeroka ścieżka otaczała gazon, z którego wystrzelała w górę fontanna, biegła potem popod gęste drzewa i znowu wiła się dalej. Wtem, w głębi, między dwoma kępami drzew zjawiły się trzy kobiety. Szły powoli, trzymając się za ręce, ubrane w długie białe peniuary, omglone koronkami. Dwie były blondynkami, a trzecia brunetką. Zadziwiony, zachwycony tem krótkiem a uroczem zjawiskiem, stałem w milczeniu.

Zaledwie mi się zjawiły w tem świetle gęstego, przyciemnionego parku. Zdawało mi się na chwilę, że patrzę na piękne kobiety innego wieku, błądzące alejami grabowemi, na te piękne kobiety, których swawolne miłostki przedstawiały grawury na ścianach. Myślałem o tych szczęśliwych czasach, kwitnących, rozkosznych i czułych, w których obyczaje były tak słodkie, a usta tak swobodne.....

Tubalny głos zbudził mię z tej zadumy. Jaśniejący radością zbliżał się ku mnie z wyciągniętemi rękoma, mój przyjaciel Patience.

Spojrzał mi w głąb oczu podejrzliwie i szerokim, półkolistym giestem, gestem Napoleona, pokazał mi swój zbytkowny salon, swój park, w głębi którego zjawiły się znowu owe trzy kobiety i odezwał się do mnie głosem pełnym tryumfującej dumy i zadowolenia:

— Trzeba ci wiedzieć że od niczego zacząłem.... z moją żoną i siostrą mej żony.....

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/przyjaciel-patience

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele, tłum, anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0527-9

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.